

odpływa statek na Houat. Na wysokości Fortu Penthièvre przesmyk jest tak wąski, że szyny kolejowe i droga prawie się stykają, a z obu stron widać morze. Wszyscy pasażerowie przyklejają twarze do okien, by podziwiać ten wspaniały widok. Po lewej zatoka Morbihan i jej spokojne wody, po prawej Atlantyk, którego fale rozbijają się na ogromnej plaży jasnego piasku.

Półwysp (po francusku *presqu'île* dosłownie *prawie wyspa*), prawie „koniec świata”. La Côte Sauvage (Dzikie Wybrzeże) jest symbolicznym pierwszym krokiem wykonanym w kierunku miejsca bez samochodów, jakim jest Houat. Kiedy tylko zamykam oczy, czuję, jak fale, mewy i wiatr już mnie tam unoszą. Pachnie morzem, jodem i algami. Czas wydaje się nie liczyć z czasem.

Stan morza zapowiada, jaka będzie przeprawa statkiem. Na horyzoncie widać trzy siostrzane wyspy: Belle-île, Houat i Hoëdic, które dawno temu stanowiły jedność.

Ponieważ statki nie kursują zbyt często i nigdy nie są skoordynowane z przyjazdem pociągów, zdarza mi się czekać niecierpliwie na przeprawę, przechadzając się po plaży i spoglądając na wyspę, by mieć pewność, że mi nie uciekną. Kiedy wreszcie wchodzę na jeden z trzech statków kursujących pomiędzy Półwyspem Quiberon i wyspami Houat i Hoëdic, witam się ze znajomymi marynarzami z Houat. Są wśród nich Thomas i Mathieu o odmiennych charakterach oraz podobnych promiennych uśmiechach i bystrych oczach.

Część przeprawy odbywa się pod osłoną wyspy Belle-île, lecz kiedy już miniemy jej opiekuńcze brzegi, fale stają się coraz bardziej odczuwalne, żywsze i silniejsze. Niekiedy uderzają tak mocno w kadłub, że przelewają się na pokład, ochlapując zbitych w gromadkę, lekko pobladłych pasażerów.

Houat jest coraz bliżej. Najpierw zapoznajemy się z wyspą ze statku, który płynie wzdłuż jej północnego brzegu, naj-

gęściej zamieszkałego i najbardziej zielonego, gdzie na przemian widać skały i małe zatoczki z urwistymi dostęпами.

Trzy kwadranse przeprawy dla pokonania około piętnastu kilometrów Oceanu Atlantyckiego, pozwalają mi zebrać myśli i cieszyć się na chwilę, kiedy statek zwolni obroty i łagodnie przybije do „mojej wyspy”, gdyż Houat należy do tych, którzy szczerze ją kochają. Nie oznacza to, że mieszkańcy Houat są od razu gotowi dzielić się swym rajem (albo swym piekłem – zależnie od punktu widzenia) z obcymi, którzy w sezonie wpadają tu tylko na jeden dzień lub zatrzymują się na kilka nocy na półdzikim kempingu albo zakotwiczyć swoją żaglówkę naprzeciw Wielkiej Plaży, „Trec'h ar Goured”.

Houat, „Houad” po bretońsku „kaczka”, ma 5 km długości i maksymalnie 1,5 km szerokości. Port Saint Gildas, będący otwartą na morze bramą wyspy, daje schronienie kilku małym statkom rybackim w jaskrawych kolorach, zako-

twiczonym przy kei, która chroni je przed gwałtownymi zimowymi burzami.

Jeanette nadzoruje pracę portu podczas gdy Allan i Jean-Louis na swoich maszynach rozładują ze statków towar. Z wyjątkiem zdobyczy z połowów, całe zaopatrzenie dociera na wyspę z kontynentu.

Na kei i na platformie portowej piętrzą się czarno-niebieskie skrzynki, boje z chorągiewkami w żywych kolorach i cała masa sieci. Rybołówstwo jest głównym zajęciem na wyspie wyprzedzającym turystykę, choć co roku pojawia się pytanie jak długo jeszcze tak będzie... Następców jest niewielu, a praca jest bardzo ciężka.

Dewiza Houat mówi: „Ag er mor e viu-amb” – „żyjemy z morza”.

Kutry rybackie wyposażone w sieci łożą okonie, dorady, sole, mątwy i barweny; kutry ze skrzynkami poławiają kraby, pająki morskie i homary. Mule zbiera się na skałach dostępnych tylko przy wielkich odpływach, w okolicach Trzech Wyseppek (Pointe Sud – Przylądek Południowy) lub Er Voc'h (Pointe Nord-Est – Przylądek Północno-Wschodni).

Rybacki wypływają w morze około 4 rano, czasami wcześniej. Warunki pogodowe i fizyczne ich pracy są bardzo ciężkie. Kiedy nadciąga burza, statki pozostają w porcie i marynarze czekają, kiedy ich towarzysz pracy, morze, zechce na nowo ich przyjąć. Zimą może to trwać całe dni.

Mimo środków ostrożności, zdarzają się mniej lub bardziej groźne wypadki. W tym roku morze zabrało dwóch rybaków, co nie zdarzyło się od 1973 roku. Cała wyspa jest w żałobie... zaledwie 290 mieszkańców oznacza, że wszyscy są przyjaciółmi, kuzynami, krewnymi, a więc są solidarni. Letnicy, którzy mają domy na wyspie i kochają ją, łączą się w bólu z wyspiarzami. Poza sezonem, wyspa jest zamknięta na cztery spusty i stanowi praktycznie niedostępną skałę, a wieś jest społecznością, w której każdy ma swoje miejsce.

Główna droga z portu biegnie przez wieś z białymi domami, którym wigoru dodają niebieskie okiennice. Pieszym podoba się, że po ukwieconych uliczkach porusza się mała ilość samochodów, gdyż potrzebne jest na to specjalne pozwolenie. W każdym z domów samochód zastępuje się wózkiem pomalowanym w kolorze okiennic, który służy do prze-



wiezienia, w zależności od potrzeby, zakupów, dzieci i różnych rupieci...

Jeżeli chodzi o mnie, wolę pójść do wsi drogą wzdłuż wybrzeża. Najpierw schodami znajdującymi się po lewej od wyjścia z portu, następnie ścieżką biegnącą nad morzem. Na horyzoncie zarysowuje się wybrzeże Morbihan, które w niektóre dni jest niewidoczne. Idę wzdłuż niewielkiego cmentarza z zadbanymi grobami, otoczonego przez malwy. Latem ubiegłego roku moja babcia spoczęła w tej zawieszanej nad oceanem ziemi, którą tak ukochała.

Następnie przechodzę przez plac Merostwa przypominającego domki dla lalek.

Na szczycie pomnika poległych, mały żołnierz wygląda jak ołowiana figurka, czuwa nad wsią, gdzie wszystko wydaje się być miniaturowe i na swoim miejscu.

Na skrzyżowaniu głównych traktów wsi stoi nieużywana studnia służąca jako tablica informująca o różnych wydarzeniach miejscowego życia. Droga do domu mojej babci pnie się na wzgórze: zejście i wejście jest otoczone domami, widać stamtąd morze i wyspę Hoëdic. Przypuszczam, że najwięcej wypadków rowerowych ma miejsce właśnie tu, gdzie latem jest trudno przejechać po-





między pieszymi i gdzie rowy są bardzo gościnne!

Rytm pobytu na wyspie jest podyktowany godzinami otwarcia piekarni, sklepiku spożywczego i supermarketu, a nie można powiedzieć, że są one takie same jak w Paryżu.

Sklepy są, wraz z pocztą, w której od jedenastej Valerie wydaje nadesłaną korespondencję, miejscami, gdzie wszyscy się spotykają. W tym czasie *Drzewo dzieci* (*l'Arbre aux enfants*) jest wypełnione śmiechem i krzykami wspinających się na nie małuchów. Raz jest ono statkiem, innym

razem samolotem lub chmurą... Stamtąd z uciechą podglądają zajętych swoimi sprawami dorosłych. Na ulicy wszyscy mówią sobie *dzień dobry* wiele razy dziennie, czy się znają, czy nie, tak kładą tutejsze zasady uprzejmości i gościnności.

Wieczorami, poza sezonem, grupa mieszkańców zbiera się w barze *le Siata* (co po celtycku znaczy *Houat*). Rozmawia się o wszystkim i o niczym, o lądowaniu helikoptera ratunkowego, o świeżych nowinach z wyspy i z kontynentu, o przyprawach i o pogodzie... Zimą, jest to jedno z niewralgicznych miejsc we wsi: tutaj

przeczekuje się grzmiącą za oknem burzę, tutaj jest się wspólnotą. Pozostałe dwa bary, *le Spi* i *l'Ezenn*, otwarte są tylko latem.

Najbardziej lubię te okresy, kiedy jest mało turystów. Wtedy mogę się poczuć trochę jak mieszkanka Houat, dzielić wspiarskie życie, trudne i słodkie zarazem.

Przy okazji jednego z moich pobytów poza sezonem, na Wielkanoc 2012 roku, byłam poproszona przez uczniów i nauczycieli miejscowej szkoły, bym opowiedziała coś o Polsce. Powiedziałam im wtedy, że pokażę swoje rysunki z Houat w Domu Bretanii w Poznaniu i że by-





łoby wspaniale, jakby uczniowie wzięli udział razem ze mną w tej wystawie. Dzieci namalowały miejsca, które lubią i opisały je, a ja zabrałam ich rysunki do Poznania, gdzie były prezentowane przez całe lato. Wszyscy jesteśmy zadowoleni i dumni z tej poszerzającej nasze horyzonty wymiany.

Dzieci, które wzięły udział w projekcie, uczą się w dwóch szkołach publicznych. Szkoła podstawowa, która jest także przedszkolem, przyjmuje dzieci z wyspy w wieku od 4 do 11 lat. Cierpliwym nauczycielem we wszystkich klasach jest Roland.

Gimnazjum, do którego uczęszczają także dzieci z sąsiedniej wyspy Hoëdic ma grono nauczycieli prowadzących zajęcia z kilku przedmiotów, wśród nich są Erwan i Anne-Gaëlle .

Po ukończeniu gimnazjum, dzieci z Houat i Hoëdic, kontynuują naukę w szkołach z internatem w Vannes, Lorient albo Quimper i wracają do domu tylko na weekendy i wakacje. Jest to prawdziwe przejście do świata dorosłych, muszą się odnaleźć na kontynencie, gdzie nie można bawić się na ulicy aż do zapadnięcia nocy. Na wyspie dzieci mają niewiarygodną wolność, większość z nich od piątego roku życia jest niezależna, sama idzie

i wraca ze wsi. Wszyscy dorośli, za sprawą niepisanej umowy, mają na nie oko.

Dorośli także cieszą się wielką wolnością, która może przejawiać się w małych sprawach. Dla mnie oznacza ona chodzenie boso przez większość mego pobytu, o ile tylko pozwala na to pogoda. Kiedy nadchodzi moment powrotu na kontynent, jakże ciężko jest założyć buty!

Moja wolność na Houat to także jest włożenie się bez celu. Zwyczajne chłonięcie pejzażu. Wybrzeże, będące pod ochroną Conservatoire du Littoral (Konservatorium wybrzeża), jest dość dzikie. Unosi się nad nim mocny zapach kocanki, białych morskich lilii i dzikich orchidei. Miłkołajki nadmorskie, goździki piaskowe, urokliwe trawy dmuszki jajo-wate i fioletowe kwiaty dzikiego czosnku dopełniają katalog roślinności, która pokrywa wyspę, zaraz za wsią.

Mimo, że wyspa jest mała, nie brak na niej zróżnicowanych krajobrazów, z targanym wiatrami wybrzeżem południowozachodnim oraz poszarpanym, urwistym i suchym wybrzeżem północnym.

Prawie całe wybrzeże to klify z różowego granitu, w których burze wydrążyły grotty. Nad nimi rozciąga się równina, której krańce są niezamieszkałe. Na jej środku porośniętym wrzosami, krzewa-

mi, kolcolistami, paprociami, jeżynami, gdzieś tam rozjaśnionymi żółtymi i pachnącymi gęstwinami janowca, niespodziewanie napotykamy „wiejską” część wyspy. Do lat 60-tych były tam pastwiska. Przetrwano jeszcze kilka ogródków warzywnych, ale nie ma już śladu po krowach. Za to myśliwi z lubością polują tam na bażanty.

Moją ulubioną porą roku jest wiosna, kiedy wyspa nie jest jeszcze obłożona przez letników. Kwiaty rozkwitają, wrzosowiska, które otaczają wieś, emanują silnymi zapachami i kolorami, plaże są puste, woda lodowata. Przyjeżdżam tu na miesiąc, by w tym królestwie wolności i spokoju malować moje chimery. Życie wydaje się takie spokojne i pogodne, jakże przyjemnie jest pracować w słońcu. W przerwach spaceruję po łące i po plażach. Zabieram ze sobą aparat fotograficzny, książkę, którą poczytam na skałach i mój szkicownik, coś w rodzaju rysowanego dziennika, w którym, na kartce papieru, staram się uchwycić pejzaż, taki, jaki jest w danej chwili.

Idę, licząc dwanaście kilometrów ścieżką wzdłuż wybrzeża, która biegnie wkoło wyspy przy krawędzi klifu albo przemierza wrzosowiska, gdzie jest za-

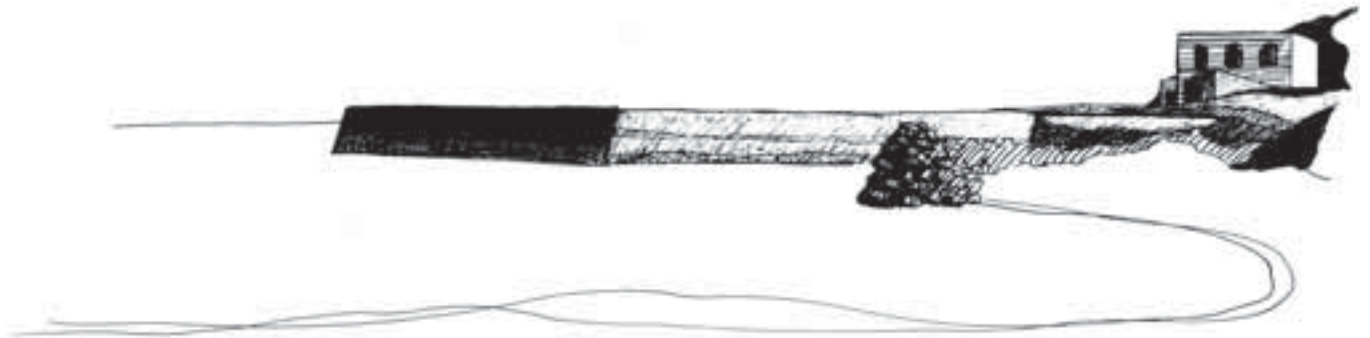


cisznie i gdzie mogę zagubić się w rozmyślaniach. Ścieżka mija plaże i skały rozdarte przez odwieczne uderzenia oceanu, gdzie wiele jest miejsc wprost stworzonych do kontemplacji horyzontu. Co jakiś czas robię przystanki z powodu nadzwyczajnych widoków na kontynent, wyspę Hoëdic lub Belle-île.

Na tej trasie jest także, leżąca na wprost wyspy Hoëdic, la Grande Plage (Wielka Plaża), która jest mierzącym około 3 kilometry fukiem białego, delikatnego piasku. Woda jest tam turkusowa. Mogłoby się wydawać, że to tropiki, gdyby nie jej chłód. Na południowym krańcu fuku znajduje się stary port,

który uległ zniszczeniu w latach pięćdziesiątych w czasie gwałtownej burzy. Cudowna jest kąpiel w osłoniętej przed zimnymi prądami, nagrzanej przez słońce wodzie.

Latem zbieram tam muszle. Wiosną odkrywam tam dziwne jajeczka, które wyglądają jak algi.



Jajka płaszczki to prostokątne torebki wydłużone przez cztery rogi. Tutejsi nazywają je, jak kto woli, „sakiewkami syreny” lub „sakiewkami diabła”.



Jajeczka mątwy przypominają kiście winogron o spiczastych końcówkach.

Jajeczka trąbików wyglądają jak gąbki, a jajeczka morskich ślimaków, Euspira catena, tworzą otwarte stożkowate obręcze, które powstają w wyniku zamulenia piaskiem.

Po odkryciu tych znalezisk, zanim dowiedziałam się, co to jest, spędziłam zabawny wieczór w barze, debatując, by się dowiedzieć, jakie, roślinne czy zwierzęce, jest ich pochodzenie.

Po przejściu wydm i jeszcze kawałka terenu, dochodzę do Salus, plaży o różowym piasku, leżącej na południowym zachodzie, na wprost Belle-Île. Młodzi spędzają tu całe dnie, wygrzewając się w słońcu i pluskając w falach. Był czas, kiedy najbardziej zuchwali, próbowali skakać z klifu, gdzie trzeba było dobrze wymierzyć, by się wpasować pomiędzy skały i poczekać na falę, żeby było dość wody...

Ostatnie godziny przed zachodem słońca są najpiękniejsze. Rozświetlają ciepłym światłem różowy granit, plażę i morze, które odwiedzają się migotaniem. Zapowiada się spacer w scenerii jak z widokówki.

Na krańcu północno-zachodnim w Béniguet i na północnym-wschodzie w En-Tal, na tle morza zarysowują się dwa forty wybudowane w stylu Vaubana około 1850 roku w miejscu, gdzie znajdowały się XVII wieczne fortece broniące przed najazdami Holendrów i Anglików. Panoramiczny widok na morze rozciąga się z ruin trzeciego, centralnie położonego fortu pochodzącego z tych samych czasów.

Szczęścia dopełnia panujący na wyspie mikroklimat. Wiele osób twierdzi, że odczujemy go w wielu miejscach w Bretanii. Tutaj, jest tak naprawdę.

Chmury nie zbierają się nad tak małą wysepką! Niewiele jest dni bez choćby jednego promienia słonecznego. Nie martwmy się zbytnio jednym dniem brzydkiej pogody. Przeciwnie, korzystamy z niezwykłego spektaklu, jakim jest burza na morzu, z fioletowymi błyskawicami i gwałtownym wiatrem.

Houat jest wyspą spokojną, cichą. Kiedy już na nią docieram, natychmiast wydaje mi się, że jestem w innym wymiarze, gdzie czas jest w zawieszeniu, po prostu gdzieś na końcu świata, skąd nie mam ochoty wyjeżdżać...

Tekst i rysunki Salomé Sloan
Tłum. Elżbieta Sokołowska

Salomé Sloan (1979) jest Paryżanką. Od dzieciństwa spędza kilka miesięcy w roku na Houat, w domu, który należał do jej babci. Ukończyła z wyróżnieniem Wyższą Szkołę Sztuk Użytkowych w Strasburgu. W miesiącach letnich w Domu Bretanii można było oglądać jej wystawę „Szkice z wyspy Houat”, której towarzyszyły rysunki dzieci z Houat, które namalowały i opisały swoje ulubione miejsca na wyspie.

<http://salomesloan.ultra-book.com/portfolio>

Dom Bretanii poleca:

**Ewa Houée: Bretania magiczna.
W krainie Celtów i templariuszy.
Wydawnictwo Lena, Wrocław 2012.
Zdjęcia Michał Kielas.**

Magiczny bedeker po Bretanii napisany przez mieszkającą tam od blisko 30 lat Polkę.
Książka nagrodzona w październiku 2012 na festiwalu Mediatravel w Łodzi



Trzy życia Danuty Le Hénaff

Elżbieta Sokółowska

Danuta Le Hénaff z domu Drobniakówna urodziła się w 1922 roku w Krakowie w rodzinie zamożnego przemysłowca Franciszka Ksawerego Drobniaka i Janiny Drobniak z domu Kraszewskiej. Jak sama mówi, miała najpiękniejsze dzieciństwo, jakie można sobie tylko wyobrazić.

Kraków

Jej dom rodzinny mieścił się na Zwierzynku, z okien widać było Wisłę i Wawel. Inżynier Drobniak był właścicielem świetnie prosperującej fabryki szczotek i pędzli. Zatrudniał ponad 30 robotników i sprzedawał swoje wyroby w całej Polsce. Zwierzyniec flisakowie i piaskarze od niepamiętnych czasów zajmowali się chałupniczo wyrobem powrozów i szczotek, otwierając swoją fabrykę. Franciszek Drobniak zatrudnił ich na stałe. Z zawodu był inżynierem górnictwa, znany był ze swej pracowitości. Kiedy przed laty wybrano go najlepszym uczniem w Krakowie, cesarz Franciszek Józef przysłał mu osobiste zaproszenie na dwór do Wiednia, gdzie wręczył mu w nagrodę cenny złoty zegarek. Także od samego cesarza Drobniak otrzymał stypendium na studia górnicze w Loeben. Po ich ukończeniu młody inżynier pracował w kopalniach, był m.in. przez wiele lat dyrektorem kopalni w Brzeszczach. Zrezygnował ze swej świetnie rozwijającej się kariery w górnictwie, gdy poznał młodszą od siebie o 20 lat Janinę Kraszewską, pochodzącą z Wilna studentkę krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Piękna dziewczyna o artystycznej duszy nie wyobrażała sobie życia na Śląsku. Zakochany w niej Franciszek został więc przemysłowcem, zachowując przy tym dla siebie prestiżowe stanowisko wykładowcy na krakowskiej Akademii Górniczo-Hutniczej.

W 2010 roku w wydawnictwie Ouest-France ukazała się książka Anne Marcus pt. „Danuta Le Hénaff Un destin exceptionnel. Une artiste en Bretagne”, która jest portretem niezwyklej artystki rodem z Krakowa, od 1965 roku mieszkającej i tworzącej w Bretanii.

Danuta była drugim dzieckiem Drobniaków. Rodzice od najmłodszych lat dbali o jej wykształcenie, najpierw zatrudniając francuską bonę, potem posyłając dziewczynkę do prywatnego przedszkola prowadzonego metodą Froebela, (niemiecki XIX-wieczny pedagog, twórca idei *kindergarten*, przedszkola-ogrodu, w którym wychowanie polega na odpowiednio zorganizowanej zabawie). Kolejne lata nauki Danuta spędziła w prywatnej szkole Urszulanek, wśród dziewczynek

z najbogatszych krakowskich domów. Czesne za miesiąc nauki wynosiło 50 zł, dla porównania kucharka u Drobniaków zarabiała wówczas 20 zł. Swoją szkołę Danuta Le Hénaff wspomina z wielkim sentymentem i szacunkiem dla znakomitej organizacji, kultury i wykształcenia jej „kochanych Urszulanek”, u których pogłębiała znajomość języka francuskiego, co będzie miało wielkie znaczenie w jej późniejszym życiu.

Sytuacja finansowa rodziny była tak dobra, że Drobniakowie mogli sobie pozwolić pod koniec lat dwudziestych na wybudowanie willi w Gdyni w zamożnej dzielnicy Kamienna Góra, gdzie spędzali co roku letnie wakacje. Willa Orla stoi do dziś. Co jakiś czas trójmiejskie gazety alarmują o fatalnym stanie obiektu, w którym mieszka kilka zakwaterowanych po wojnie rodzin i który nie był od dawna remontowany. Willa jest zabytkiem architektury, gdyż jest jedynym w Gdyni przykładem stylu zakopiańskiego.

Rodzice wiele podróżowali, najczęściej do krajów śródziemnomorskich. Ojciec był stale ciekaw technicznych nowinek, w 1935 roku zabrał żonę do Paryża na wystawę światową. W ciągu dnia odwiedzali pawilony, a wieczorem bawili się. Danuta zapamiętała opowieść rodziców o zachwycającej rewii w Folies – Bergère, podczas której wystąpił popularny francuski piosenkarz Maurice Chevalier

Lata trzydzieste, które stały pod znakiem kryzysu i rosnącego w siłę ruchu faszystowskiego pogorszyły rodzinne finanse. Sytuacja stała się poważna, kiedy główny księgowy w firmie zdefraudował pokąźną sumę pieniędzy. Matka zaczęła wówczas po raz pierwszy w życiu pracować. Zaczęła też nalegać, by dorastające dzieci zadbały nie tylko o wykształcenie, ale także o przyszły zawód. Chciała, by Danuta została farmaceutką, ona jednak nie chciała o tym słyszeć. Jako dziecko wychowane tuż pod



wawelskim wzgórzem marzyła o odkrywaniu skarbów minionych czasów. Chciała zostać archeologiem.

1 września 1939 dotychczasowe życie Drobniaków nieodwołalnie skończyło się. Początkowo wszyscy mieli nadzieję na szybkie i pomyślne zakończenie wojny dzięki pomocy sojuszników. Frankofońscy mieszkańcy Krakowa zbierali się co wieczór pod konsulem francuskim, by w patriotycznym uniesieniu śpiewać Marsyliankę. Rozwój wydarzeń odebrał im jednak nadzieję na szczęśliwy obrót spraw. 6 listopada Niemcy wezwali krakowskich wykładowców do budynku Collegium Novum Uniwersytetu Jagiellońskiego w celu omówienia zasad wznowienia nauczania akademickiego. Franciszek Drobniak, który był wykładowcą na Akademii Górniczo-Hutniczej także został wezwany, lecz nie stawiał się na spotkanie z powodu przeziębienia, uratowało go to od pewnej śmierci, gdyż wiemy, jak tragiczny los spotkał jego kolegów aresztowanych i wysłanych do obozu koncentracyjnego w Niemczech. Matka Danuty także zachorowała, infekcja pogłębiła się, nastąpiły komplikacje, w wyniku których na początku lata 1940 roku Janina Drobniak zmarła w wieku zaledwie pięćdziesięciu lat. To był cios dla całej rodziny, przede wszystkim dla ojca, który darzył żonę wielkim uczuciem.

Dzieci Drobniaków kontynuowały naukę na tajnych kompletach. Dzięki temu Danuta mogła zdać maturę i rozpocząć zajęcia z ceramiki w Państwowej Szkole Rzemiosła Artystycznego, która była przedwojenną Akademią Sztuk Pięknych o zmienionej przed okupanta nazwie. Wkrótce rodzina musiała zmierzyć się z kolejnym dramatem, Franciszek Drobniak, nie mogąc podnieść się psychicznie po śmierci żony i zamknięciu fabryki, wyskoczył przez okno.

Danucie udało się wyjechać z Krakowa do Zakopanego, gdzie doskonaliła swe umiejętności w pracowni ceramiki. W górach mogła odetchnąć swobodniejszą atmosferą i zdrowym powietrzem oraz uprawiać ukochane przez nią narciarstwo. Po wojnie wróciła do Krakowa i zamieszkała u ciotki, bo dom Drobniaków na ulicy Kościuszki zarekwirowali Rosjanie. Wojna obeszła się okrutnie z rodziną Danuty, rodzice nie żyli, w czasie zawieruchy powstańczej w Warszawie zaginęli jej bracia, starszy Bogdan i młodszy Jerzy.

Zaginęli także obaj bracia matki, którzy zostali prawdopodobnie rozstrzelani przez Rosjan.

Danuta chciała za wszelką cenę wyjechać z Polski. Napisała do swego wuja Tadeusza Drobniaka, dyplomaty, który przed wojną był konsulem Polski w Niemczech, a po jej wybuchu wyjechał do Londynu. Dzięki jego koneksjom ambasador Francji w Polsce wydał Drobniakównie wizę do Francji. Nie miała ona jednak paszportu ani szans, by go otrzymać. Wtedy wydarzyło się coś, co zmieniło jej życie. Do kawiarni na krakowskim rynku prowadzonej przez jej ciotkę przyszedł sowiecki dygnitarz zarządzający miastem. Spodobała mu się bardzo filiżanka, w której podano mu kawę. Zaprzagnął dla siebie całego serwisu w podobnym stylu. Filiżanka była dziełem Danuty, która powiedziała Rosjaninowi, że nie może wykonać serwisu, gdyż nie ma zawodowych uprawnień. Na pytanie Rosjanina, gdzie mogłaby je zdobyć, odpowiedziała bez namysłu, że w szkole Sèvres pod Paryżem. Rosjanin w przypływie dobrego humoru powiedział, że pozwoli jej tam wyjechać i co najważniejsze, dał jej pismo, dzięki któremu w Warszawie wydano jej paszport. Danuta wyjechała z Polski w kwietniu 1946 roku. Tak opisała autorce książki ten moment: *Widzę siebie na dworcu w Krakowie wsiadającą do pociągu. Nie chciałam nikogo prosić o pomoc, dlatego zabrałam tylko to, co mogłam unieść sama. Miałam mały plecak, walizkę w ręku i torbę na ramieniu. Zabrałam ze sobą niewiele: biżuterię matki, kilka fotografii, trochę ubrań i bielizny oraz aparat fotograficzny Leica jednego z moich wujów, ponieważ wiedziałam, że ma dość dużą wartość i że mogłabym go sprzedać, gdybym potrzebowała pieniędzy. Ale przede wszystkim w kieszeni płaszcza miałam paszport i dokument, który miałam pokazać w konsulacie po przyjeździe. Ostatni raz odwróciłam głowę, by pożegnać moje kuzynki, które zostały na peronie. A potem rozległ się szum wypuszczanej pary, kuzynki*



znikły mi z oczu, a ja patrzyłam przed siebie. Tak opuściłam mój kraj, nie wiedząc, czy kiedyś do niego wrócę...

Podróż do Paryża trwała 48 godzin. Kiedy pociąg dotarł o ósmej rano na Gare de l'Est i dwudziestoczoletnia Drobniakówna rozejrzała się wokół siebie, przeżyła rozczarowanie. Powojenny, brudny i zabiedzony Paryż nie przypominał rozświetlonej i rozbawionej metropolii, o której tyle słyszała od rodziców. Pierwszy dzień w stolicy Francji był jednym z najdłuższych dni w jej życiu. W ciągu kilku godzin musiała zalegalizować swój pobyt we Francji i załatwić sobie nocleg. Udało jej się to za cenę zrzeczenia się peerełowskiego paszportu i zostania bezpaństwowcem. Dopiero wówczas polskie organizacje emigracyjne działające w Paryżu mogły jej pomóc. Danuta zapisała się do paryskiej Szkoły Rzemiosła Artystycznych, bo już wówczas wiedziała, że najbardziej w swym życiu chce być ceramikiem. Przez trzy semestry z pasją doskonaliła swój warsztat. Nie była początkująca, w Polsce poznała podstawy rzemiosła, jednak dopiero w Paryżu zaczęła pracować z piecem elektrycznym. Wypalanie ma fundamentalne znaczenie dla pracy ceramika. W przyszłości Danucie przyda się także umiejętność wypalania w piecu ceglany, którą wyniosła z Polski. Szkoła miała znakomitych wykładowców, organizacja pracy studentów była wzorowa, Drobniakówna, chcąc zostać ceramikiem, trafiła pod najlepszy adres.

Latem 1946 roku studenci oraz wykładowcy Szkoły Rzemiosł Artystycznych wyjechali na miesięczny obóz na La-zurowe Wybrzeże. Dla Danuty była to pierwsza podróż na południe Francji, cieszyła się słońcem, pięknem natury, młodością. Jakaż to była dla niej zmiana po bolesnych latach wojny... Tęgo lata odbył się pierwszy Festiwal Filmowy w Cannes, w którego konkursie znalazła się „Symfonia Pastoralna” z Michèle Morgan. Danuta przyglądała się wszystkiemu z zachwytem.

Za rok czekała ją jeszcze dalsza podróż. Wuj Tadeusz Drobniak zaprosił ją do siebie na... Madagaskar. Danuta najpierw chciała zdobyć dyplom, z wyjazdem oczekiwała więc do lata 1947 roku. Wtedy spałowała swoje rzeczy w krakowski plecak, walizkę i torbę przez ramię i 7 lipca wsiadła w Marsylii na statek Champollion, którym przez 25 dni płynęła przez Morze Śródziemne, Kanał Sueski i wschodnie wybrzeże Afryki na Madagaskar. Ten rejs wspomina jako spełnienie wojennego marzenia. W czasie okupacji, z krakowskimi przyjaciółmi opowiadali sobie, gdzie chcieliby się znaleźć, kiedy koszmar wojenny się skończy. Danuta powiedziała, że chciałaby wyjechać na tropikalną wyspę. I tak się stało. Nie mogła jednak wiedzieć, że będzie jej tam tak dobrze, że spędzi na niej aż 20 lat...

Madagaskar

Wyspa, której obszar jest znacznie większy niż terytorium Francji była zawsze łakomym celem piratów oraz Anglików i Francuzów, którzy prześcigali się, chcąc zdobyć ją dla siebie. W 1773 roku dowódcą francuskiej misji kolonizacyjnej był podpułkownik Maurycy Beniowski, które został nawet obwołany przez tubylców królem. Znacznie więcej dobrego dla wyspiarzy zrobił inny Polak, jezuita Jan Beyzym, pochodzący podobnie jak Danuta Drobniakówna z Krakowa, nazwany apostołem trędowatych, który niósł im pomoc i w dużej mierze ze składek polskiego społeczeństwa wybudował na wyspie szpital dla chorych na trąd. Sam także zaraził się tą straszliwą chorobą i zmarł na Madagaskarze w 1912. Jan Paweł II beatyfikował go w czasie mszy na Błoniach krakowskich w 2002 roku. W okresie międzywojennym poważnie rozważana była cesja Madagaskaru na rzecz Polski i uczynienia z wyspy polskiej

kolonii. Wysłano tam nawet misję rozpoznawczą, którą kierował bliski współpracownik Józefa Piłsudskiego.

Obecność Tadeusza Drobniaka w Tananarive (obecnie Antananarivo), stolicy wyspy, nie miała jednak z tym nic wspólnego. Wuj Danuty wyjechał do Afryki jako przedstawiciel polskiego rządu w Londynie, by wizytować obozy Polaków, którzy znaleźli tu schronienie w czasie wojny i po jej zakończeniu. Wkrótce mianowano go konsulem polskim na Madagaskarze. Tadeusz Drobniak nie widział swej bratanicy osiem długich lat, ostatnim razem spotkali się w sierpniu 1939 roku w jej rodzinnym domu w Krakowie. W międzyczasie wydarzyło się wiele złego zarówno w ich rodzinie jak i w Polsce, trudno się więc dziwić, że podczas powitania wylali wiele łez. Odtąd wuj zastąpił Danucie nieżyjącego ojca.

Zaraz po przyjeździe Danuta zaczęła pomagać w pracowni krawieckiej swej ciotki Cezarii. Wujostwo byli małżeństwem od niedawna, Tadeusz poznał swą żonę w obozie polskich uchodźców w Ugandzie, gdzie dotarła po ciężkich latach spędzonych na zsyłce w Rosji. Cezaria była niezwykle energiczną osobą, na Madagaskarze zabrała się do projektowania i szycia damskich strojów. W organizowanych przez nią pokazach mody Danuta była zawsze jedną z modelek.

Madagaskar był wówczas kolonią francuską. Tananarive liczyło trzysta tysięcy mieszkańców, było wśród nich wielu Francuzów pracujących na kierowniczych stanowiskach we wszystkich miejscowym życiu. Centrum miasta było eleganckie, dominowała architektura w stylu kolonialnym, nie brakowało zamożnych rezydencji i reprezentacyjnych budowli, wśród których wyróżniały się budynek stacji kolejowej w stylu secesji oraz zaprojektowany w pracowni Gustawa Eiffle'a stylowy

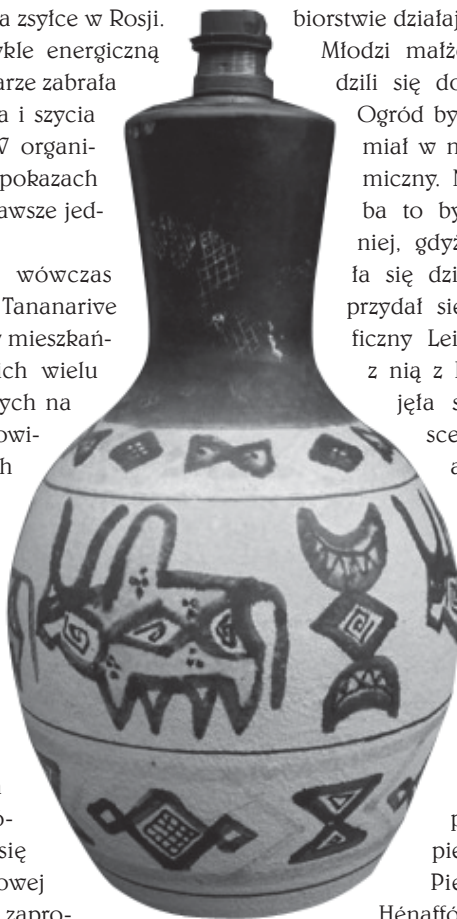
budynek luksusowego magazynu handlowego *Le printemps de Madagascar*, w którym robiła zakupy miejscowa elita.

Danuta tęskniła za ceramiką oraz za uprawianiem sportu, do czego była przyzwyczajona od dzieciństwa. Zapisła się do europejskiego klubu sportowego w Tananarive. Pewnego dnia skoczyła nieostrożnie do basenu i uległa wypadkowi. Niewiele brakowało, aby jego skutki były bardzo poważne. Nieprzytomną dziewczynę wyciągnął z wody młody człowiek, Yann Le Hénaff. Tak zeszyli się na zawsze drogi dwojga młodych ludzi. To była miłość od pierwszego wejrzenia. Rok później byli już małżeństwem. Białą suknię pannie młodej uszyła ciotka Cezaria.

„Le Hénaff” po bretońsku znaczy „pierworodny”. Yann pochodził z Lorient w Bretanii. Danuta nie słyszała wcześniej o tym regionie Francji. Jej przyszły mąż był oficerem, pracował dla wywiadu wojskowego. Po uzyskaniu przez Madagaskar autonomii, a w roku 1960 niepodległości, Yann zakończył pracę w armii i zatrudnił się we francusko-belgijskim przedsiębiorstwie działającym na wyspie.

Młodzi małżonkowie przeprowadzili się do domu z ogrodem. Ogród był bardzo ważny, gdyż miał w nim stanąć piec ceramiczny. Na razie jednak trzeba to było odłożyć na później, gdyż Danuta spodziewała się dziecka. W tym czasie przydał się jej aparat fotograficzny Leica, który przyjechał z nią z Krakowa. Danuta zajęła się fotografowaniem scen z życia Malgasy, atrakcji turystycznych Tananarive, malowniczych miejsc na wyspie. Ze zdjęć własnoręcznie robiła czarno-białe pocztówki, które podpisywała swymi inicjałami DH, a następnie sprzedawała je z wielkim powodzeniem w sklepie *Printemps*.

Pierwsze dziecko Le Hénaffów, syn Alain, urodził się w wigilię 1949 roku. Niedługo później w przy-



Podstawa lampy z motywami malgaskimi

domowym ogrodzie stanął ceglany piec wymurowany pod wymagającym okiem Danuty przez malgaskiego murarza. Artystka wypatrzyła także odpowiednią do swej pracy glinę, której było pod dostatkiem na polach ryżowych. Wystarczyło poczekać do zbiorów ryżu, pozwolić wodzie opaść, aż odsłaniała się biaława delikatna ziemia, miękka i przyjemna w dotyku, przypominająca glinę kaolin. Danuta zabrała się do pracy, chcąc, by jej wyroby miały związek z miejscową tradycją i tutejszym kolorytem. Zaczęły powstawać niezliczone ilości przedmiotów codziennego użytku w kolorach ziemi i ochry, ozdabiane prostymi motywami graficznymi przypominającymi afrykańskie malowidła naskalne. Po kilku latach Danuta wpadła na pomysł ozdabiania naczyń scenami rodzajowymi z życia Malgasy. Raz jeszcze sfotografowała typowe widoki: kobiety wracające z targu, przesiewające ryż, pirogi na rzece, mężczyźni ścinających trzcinę cukrową. Następnie pokazała te fotografie swoim dzieciom (w międzyczasie na świat przyszła córka Annick) i poprosiła, żeby je odwzorowały. Powstały scenki namalowane w wierny i autentycznie naiwny sposób. To był efekt, jaki artystka chciała osiągnąć. Te motywy były potem kopiowane przez zatrudnionych przez nią malgaskich rysowników. Wyroby ceramiczne Danuty od początku świetnie sprzedawały się. Była jedynym ceramiczkiem w basenie Oceanu Indyjskiego. W Paryżu zakupiła dwa piece elektryczne, jej warsztat rozrastał się i zyskiwał coraz większą renomę. Artystka zaczęła pokazywać swoje prace, najpierw we francuskich ośrodkach kulturalnych na sąsiednich wyspach la Réunion i na Mauritiusie, potem w wielu europejskich miastach, Londynie, Genewie, Lozannie, Pradze. Prezydent Madagaskaru osobiście odwiedził ją w pracowni, dziękując za wkład w rozwój lokalnej sztuki i za popularyzowanie kultury malgaskiej na świecie.

Projekt Danuty wygrał konkurs na nowy herb stolicy Madagaskaru. Ceramiczne dzieło Polki z dewizą Tananarive „Tysiąc wojowników nie umiera w jeden dzień” znajduje się do dzisiaj na froncie tamtejszego ratusza. Miasto odtworzyło ten motyw na swej oficjalnej pieczęci, pocztą zaś wydała okolicznościowy znaczek z herbem. Zapanowała nawet moda na ceramiczne herby, zamówienia napływa-

ły do artystki ze wszystkich stron. Wśród wielu dzieł Danuty Le Hénaff, które pozostały na wyspie, warto wymienić drogi krzyżowe w kilku malgaskich kościołach katolickich, które stały się częścią tamtejszego dziedzictwa kulturowego.

W 1960 roku, gdy Madagaskar stał się niepodległym państwem, ogłoszono konkurs na stelę mającą symbolizować odzyskaną niepodległość. Danuta nie chciała brać w nim udziału ze względu na swe francuskie obywatelstwo. Kusiło ją jednak to wyzwanie, zaprojektowała więc stelę i oddała rysunek swemu najlepszemu malgaskiemu pracownikowi Rakoto, który wykonał ją i wygrał konkurs ku wielkiej satysfakcji swej szefowej.

Klimat społeczny na wyspie pogarszał się, było niespokojnie. Europejczycy zaczęli opuszczać wyspę. Dzieci Le Hénaffów dorosły i trzeba było im zapewnić dobre wykształcenie. W 1965 roku nadszedł czas rozstania z Madagaskarem. Najpierw wyjechała rodzina Danuty, za nimi podążyli wujostwo Drobniakowie, którzy osiedli na Lazurowym Wybrzeżu. Warto w tym miejscu wspomnieć, że w międzyczasie na Madagaskar dojechał odnaleziony starszy brat Danuty, Bogdan, który po wojnie uciekł z Polski i jak się okazało, przebywał w Paryżu w tym samym czasie co siostra, studiując na innej uczelni. Spotkali się po latach na wyspie.

Bretania

Dom rodzinny Yanna w Lorient ocalał podczas zmasowanych bombardowań alianckich, mających na celu zniszczenie jednostek niemieckich stacjonujących w miejscowym porcie. Danuta odwiedzając z Yannem jego rodzinne strony pod koniec lat czterdziestych i w latach pięćdziesiątych, widziała osiedla drewnianych baraków, w których przez lata odbudowy miasta z ruin, mieszkali rodziny, które straciły dach nad głową.

Małżonkowie Le Hénaff zbudowali swój dom w małej miejscowości Larmor-Plage tuż nad morzem. Parter został w całości zaprojektowany na potrzeby warsztatu Danuty. Artystka odnalazła się w nowej rzeczywistości z właściwą dla niej energią i chęcią tworzenia. Długi czas poszukiwała miejscowego koloru, którego mogłaby użyć w swych pracach. Kolory ziemi i ochry, które wyrażały Madagaskar, nie pasowały do Bretanii, nie były tutejsze. Rozglądając się wokół siebie, patrząc na

łupkowe dachy, na morze, na kwitnące obficie hortensje, na granitowe budowle, artystka znalazła ten kolor, specyficzny bretoński błękit, złamany nieco szarością. W kolorze tym odkryła źródło swej bretońskiej inspiracji. Zaczął się nowy rozdział jej życia i twórczości.

Przyszły kolejne wystawy organizowane już w Bretanii, sprzedaż znakomicie rozwijała się, artystka zaczęła prowadzić bezpłatne kursy ceramiki w szkołach, wykonywać prace na zamówienia. Odniosła sukces. Jej pracownia nazywana jest powszechnie, nie tylko przez miłośników ceramiki, *słynnym warsztatem ceramicznym z Larmor-Plage*. Jej wyroby można kupić w wielu miejscach w Bretanii, można także natrafić na aukcje jej prac w Internecie. Spod jej ręki wyszła figurka baranka, który jest nagrodą dla najlepszej bretońskiej orkiestry dętej tzw. bagad. Finał konkursu orkiestr odbywa się podczas słynnego festiwalu muzyki celtyckiej w Lorient.

Obecnie warsztat w Larmor Plage prowadzi syn Danuty, Alain, w którym znalazła godnego następcę. Artystka mimo swych 90 lat wciąż lubi zasiąść za kołem garncarskim. Całe swe życie jest osobą niezwykle aktywną. W wieku 88 lat jeszcze sama prowadziła samochód, do późnego wieku jeździła konno, zarażając swą pasją dzieci i wnuki.

Wciąż czuje się Polką. Jej dom w Bretanii nazywa się Ker Wavel czyli *wieś Wavel*. Przez wiele lat w swej bretońskiej pracowni słuchała polskiego radia, interesuje się sytuacją w rodzinnym kraju, który odwiedziła dwukrotnie, w 1959 roku oraz w połowie lat osiemdziesiątych. W jej pracowni wisi fotografia Jana Pawła II, którego poznała w czasie okupacji.

Danuta Le Hénaff z domu Drobniaków na wykorzystała w swym życiu jak najlepiej niezwykle talent artystyczny, którym została obdarzona i który zawsze dawał jej siłę, by sprostać przeciwnościom losu i by pozostawić po sobie ślad.



Bretania 2012

– dziennik podróży

Aldona K. Uziębło

Tegoroczną wyprawę zaplanowaliśmy z noclegami w Belgii w hotelach sieci Ibis w Charleroi i w Liège, na drugi 24-godzinny maraton w samochodzie jak w 2010 roku już nie zdecydowaliśmy się, z wiekiem coraz bardziej ceniąc wygodę i bezpieczeństwo.

1 września – sobota

Do naszej cichej i bardzo zadbanej osady Keranroué koło Erdeven przyjechaliśmy około 18.00. W ładnym, przytulnym domu czekało na nas na stole świeżo upieczone ciasto z jabłkami i cydr (kochamy Bretończyków za ten uroczy zwyczaj!). Domek położony jest wprawdzie ponad 1 km od morza, ale za to pięknie wyposażony, z osobnym ogrodem i kominkiem w salonie. Na piętrze znajduje się jasna łazienka, dwie sypialnie, a nawet niezłe zaopatrzone biblioteczka. Po wniesieniu bagaży do domu postanawiamy rozprostować kości pierwszym spacerem na plażę i pierwszym spojrzeniem na Atlantyck. Do plaży dochodzi się drogą między zarosniętymi wydhami, po których kicają stada dzikich królików. Odczuwamy wielką radość, że znowu tu jesteśmy, ale i lekkie rozczarowanie, bo tutejsza plaża nie umywa się do naszej ukochanej z Plomodiern. Ale co tam, *demat Breizh!*

2 września – niedziela

Chłodny, ale słoneczny poranek. Robimy wypad na pchli targ do Erdeven. Mnóstwo różności, ale niestety w większości śmieci powymiatane ze strychów i zakurzonych kątów. Nic, co złapałoby nas za serce. Za to zaopatrzyliśmy się w szalotki i ziemniaki, jak to się u nas mówi „prosto od chłopca”, czyli po europejsku rzecz ujmując „od producenta”.

Z targu ruszamy prosto na wyspę Saint Cado. To miejsce, gdzie osiedlił się jeden z bretońskich biskupów św. Cado. Wybudował tu kaplicę i owiany diabelską legendą most, po którym wierni mogli



Stary kłiper w le Magouer

przychodzić by słuchać jego kazań. Niestety jest odpływ, co nigdy nie robi dobrze wrażeniu, jakie wywołuje na turystach zwiedzane miejsce. Otoczenie jest dość smutne, łodzie zacumowane w zatoce leżą na boku jak wraki, a w powietrzu unosi się charakterystyczny zapach mułu i wodorostów.

Stamtąd przejeżdżamy do Étel, zwiedzamy port, marinę i wystawę historycznych fotografii ukazujących życie w tej miejscowości z początków XX wieku, a na falochronie – fotografii przyrodniczej – morskich stworzeń o bajecznych kolorach i kształtach oraz zdjęcia zatoki Étel i okolic, z lotu ptaka.

Pod koniec dnia przejeżdżamy na drugi brzeg zatoki, do Le Magouer, gdzie zrobiliśmy sobie plener fotograficzny, uwieczniając wraki starych kłiperów czyli łodzi służących do połowu tuńczyków, wyglądających jak szczyzące się wręgami wieloryby wyrzucone na brzeg.

Po powrocie do domu, obiad i spacer na plażę, gdzie aż do malowniczego za-

chodu słońca, cieszymy się falami i ciepłym wiatrem wiejącym od morza. Wieczór spędzamy przy rozpalonym kominku i butelce cydru.

3 września – poniedziałek

Piękny, rześki poranek. Po śniadaniu ruszamy do Auray. Zakupy świeżych warzyw na targu, degustacje miejscowych smakołyków i przejazd do pięknej zabytkowej dzielnicy Saint Goustan. Znowu mamy pecha do pory odpływu, który mocno oszpeca okolice rzeki i piękny kamienny most. Zwiedzamy miasto, wąskie uliczki pośród starych kamieniczek, mury obronne. Zwabieni zapachem „czekoladziarni” w pięknych nadbrzeżnych okolicznościach przyrody raczymy się pysznymi *kouignettes*.

Z Auray jedziemy do Carnac, zwiedzić największe w Bretanii skupisko menhirów. Tak naprawdę to trzy skupiska: Menec, Kermario i Kerlescan, położone niedaleko od siebie. Największe wrażenie robi na nas Kermario, bowiem menhiry są

tu największych rozmiarów i gęsto ustawione w długich rzędach. Na zakończenie podjeżdżamy jeszcze kilometr dalej w pobliże tumulusa Kercado. Tumulus to kamienna pieczara ze sklepieniem zbudowanym z jednego bloku skalnego, do której wchodzi się niezbyt długim ciemnym korytarzykiem.

Wracamy do domu, wszyscy mamy chyba jakiś kryzys aklimatyzacyjny, bo czujemy się bardzo zmęczeni, ale dusze koi nam kominek i lampka różowego wina.

4 września – wtorek

Rano, przy lekko zachmurzonym niebie wyjeżdżamy do Quiberon. Po drodze zwiedzamy jeszcze „nasze własne” menhiry Kerzerho, położone przy wyjeździe z Erdeven i dolmen Crucuno, dość dziwnie położony w środku wsi, obok muru opuszczonego domu, wystawionego na sprzedaż. Po drodze trafiamy na *brocante* czyli targ staroci pod gołym niebem. Cze-

góż tam nie było, nawet ambona z piękną snyderką wystawiona na sprzedaż!

Na półwyspie Quiberon spacer zaczyna się od wysokości fortu de Penthièvre częściowo ścieżką, częściowo plażą, na której fotografujemy stada pięknych siewczek obrożnych, niewielkich biało-brązowych ptaszków żerujących na odsłoniętym odpływie brzegu. Wymagało to doprawdy sporego poświęcenia, bo miejscami odór stężonego amoniaku i siarkowodoru z rozkładającej się materii organicznej stawał się nie do zniesienia. Planowałam tego roku porobić trochę zdjęć roślinności porastającej klify, ale sezon wegetacyjny tym razem jest dużo bardziej posunięty niż dwa lata wcześniej, udało mi się sfotografować dosłownie kilka ostatnich kwitnących gatunków, słowem na klifach tego roku panowała już jesień.

Od skalistego punktu widokowego Pointe du Percho przechodzimy aż do zatoki bliżej menhirów Beg er Goalennec wzdłuż

Dzkiego Wybrzeża – *Côte Sauvage* – pełnego tajemniczych zatok i grot, a także złościstych plaż. Spacer zajął nam pół dnia. Wczesnym popołudniem podjeżdżamy jeszcze do Port Maria obejrzeć z bliska opierający się fałom i wiatrom morskim Château Turpault, który znaleźliśmy z plakatu podpisanego *Côte Sauvage*, wiszącego w naszym salonie. Stamtąd idziemy jeszcze pieszo na końcowy cypel półwyspu Quiberon na Point du Conquel i tam plażujemy do późnego popołudnia. Trochę zmęczeni kilkugodzinnym marszem wracamy do domu na polskie łązanki z kapustą i grzybami oraz zestaw kupionych wcześniej serów i wino z Prowansji.

5 września – środa

Chłodny, zachmurzony poranek. Naszym celem jest zamek Suscinio, ale po drodze zajeżdżamy jeszcze do sanktuarium Sainte Anne d’Auray z piękną bazyliką, monumentalnymi rzeźbami i miejscem pamięci ofiar obu wojen świat-

Zamek Le Suscinio



towych, a także kamiennym kręgiem upamiętniającym wizytę w tym miejscu papieża Jana Pawła II. Przed bazyliką znajduje się fontanna św. Anny, która błogosławi wszystkim mającym trudności w zostaniu rodzicami. Założycielowi tego miejsca św. Nicolazicowi patronka pobłogosławiła aż ośmiorgiem pociech. Z sanktuarium ruszamy do Vannes. Zostawiamy tam samochód na podziemnym parkingu, na którym poruszanie się większym samochodem wymaga sporych umiejętności, tak jest wąsko, za to jest on położony blisko głównego placu przed pięknym budynkiem ratusza i stojącym u jego stóp pomnikiem księcia Rocheford na koniu. Pomnik do złudzenia przypomina nam dzielnego Bertranda du Guesclin stojącego na placu w Dinan. Naszą uwagę zwracają „warzywne” kłomby, ze zdobycznymi je pięknie wyrosniętymi porami, burakami i kilkoma odmianami ozdobnej kapusty. W Vannes zwiedzamy katedrę św. Piotra, rozkwiecony w całkiem nie jesien-ny sposób ogród Pod Murami – *Jardin du*

Remparts – przecięty rzeczką Marle aż do wysokości Château de L'Hermine, wybudowanego w XVIII w. na ruinach XIV-wiecznej fortecy, będącej siedzibą książąt Bretanii.

Stamtąd jedziemy do Le Hézo, do muzeum *La Maison du Cidre*. Muzeum oferuje seans filmu ilustrującego proces produkcji cydru w przeszłości i współcześnie, zachowane wiekowe narzędzia i urządzenia wykorzystywane na przestrzeni wieków w produkcji tego trunku będącego „złotem na Waszym stole i słońcem zamkniętym w butelkach”. Na tyłach muzeum znajduje się niewielki sad z dokładnie opisanymi odmianami jabłek wykorzystywanych w produkcji. Zwiedzanie zakończone jest degustacją 4 rodzajów cydru i wizytą w sklepiku z miejscowymi produktami. Muzeum jest trochę zaniedbane, czystość w poszczególnych barakach pozostawia sporo do życzenia, ale wszystko wynagrodził nam smak cydru Royal i ruchomy manekin „pracujący” przy wyciskarce soku, który rozbawił nas

do łez i z którym spędziliśmy sporo czasu, na pamiątkę nadając mu imię Józka Wyciskacza (jest do obejrzenia na You Tube).

Ostatnim, a zarazem głównym punktem programu tego dnia jest zamek Suscinio czyli *Stojący nad bagnami*. Pięknie położony, blisko brzegu morza, otoczony lasem, podmokłymi łąkami, szuwarami i malowniczymi stawami, był ponoć ulubioną rezydencją książąt Bretanii, słynącą ze wspaniałych terenów łowieckich. Zamek, zniszczony podczas II wojny światowej, jest przykładem doskonale przeprowadzonej rekonstrukcji, z zachowaniem dawnych technik budowlanych. Opowiada o tym film, który można obejrzeć w jednej z zamkowych komnat. Duże wrażenie robi ekspozycja XIII-wiecznych posadzek, ze spalonej przed wiekami zamkowej kaplicy, które zostały zakonserwowane przez popioły i przypadkiem, całkiem niedawno odkryte. W zamku opisany jest dawny rozkład komnat książęcych z opisem sposobu ich ówczesnego użytkowania. Dużą frajdą dla

Guimiliau



zwiedzających jest urządzona w komnacie sypialnej księcia przebieralnia w stroje dawne dla kobiet, mężczyzn i dzieci. Stroje można przymierzyć i poczuć na własnej skórze powiew Średniowiecza, przechadzając się w sukniach z epoki po zamkowych korytarzach.

Pełen atrakcji dzień zakończyliśmy w przyzamkowej *crêperii*, jedząc chrupiące *galletes* i pijąc pyszną kawę.

6 września – czwartek

Piękna pogoda. Błękitne niebo, powietrze ciepłe z powiewami chłodniejszego wiatru. W planie wyprawa do Quimperlé. Zaczynamy od wizyty na targu i murach obronnych w Hennebont, oraz w tamtejszej bazylice Notre Dame de Paradis zwieńczonej piękną 65-metrową wieżą dzwonną. Targ rozmieszczony jest wzdłuż głównej ulicy. Można na nim kupić od owoców, pieczywa, serów i wędlin przez miody, wyroby skórzanego, żywy drób po ubrania i tanią książkę.

Po drodze do Quimperlé fotografujemy niezwykle malowniczy XIII-wieczny kamienny most nad rzeką Scorff w Pont-Scorff, znaną z tego, że tuńczyki po spędzeniu dwóch zim w Atlantyku wpływają w tą rzekę, by tu na kamienistym dnie złożyć ikrę i dokonać żywota. Cykl rozwojowy tej ryby, hodowlę młodych okazów, stopniowo przygotowywanych do wypuszczenia na morską wędrówkę można obejrzeć w muzeum *L'Odysseum*, w którym pokazana jest również ewolucja technik rybołówstwa.

Quimperlé zachwycało nas ukwieceniem ulic, domów i bulwarów. Ogromne kwietniki wiszą również na narożnikach domów. Sprawia to kolorowe i radosne wrażenie. Kwietniki wiszące na murach wzdłuż rzeki są nawadniane specjalnym systemem pobierającym z niej wodę do nawilżania gleby. W mieście tym godny odwiedzenia jest przepiękny, słoneczny kościół Sainte Croix, zbudowany w XI w., przebudowany w 1862 r. Kościół postawiony jest nietypowo na planie koła i ma przypominać Bazylikę Grobu Świętego w Jerozolimie. Składa się z rotundy i trzech bocznych kaplic, wszystko razem tworzy obrys greckiego krzyża. W krypcie znajdują się XV-wieczne groby z rzeźbami nagrobnymi. Przepiękna jest również dawna renesansowa fasada z białego marmuru, tworząca dziś ołtarz w bocznej południowej nawie. W górnej części Quimperlé znajduje się stary kościół Saint

Michel, na razie remontowany i zamknięty dla zwiedzających. Miasto położone jest na stromych brzegach rzeki Laita, stąd jego klimat tworzy kilka stromych wąziutkich uliczek łączących górne miasto z dolnym.

Dzień kończymy w Port Louis, zwiedzając stare miasto otoczone murami obronnymi i cytadelę zbudowaną w 1590 r. i potem stopniowo rozbudowywaną. Od zawsze pełniła ona rolę więzienia. Znajdują się tu pamiątkowe groby nieznanymi ofiar z II wojny światowej. W mieście zobaczyć można sporo bardzo starych kamienic pełniących niegdyś funkcje hoteli. Wzdłuż murów obronnych, którymi można przejść ponad miastem (rozrywka tylko dla ludzi pozbawionych lęku wysokości, bo na murach nie ma zabezpieczeń) położona jest długa, piaszczysta plaża z widokiem na Pointe de Gâvres i Ile de Groix.

Po powrocie do domu zostajemy obdarowani przez naszych gospodarzy pysznym winem, które uprzyjemniło nam kojełne nocne Polaków rozmowy.

7 września – piątek

Znowu piękny, słoneczny dzień. Kierunek Josslin. Po drodze trafiamy do Rochefort en Terre, miasteczka jak z bajki. Pobito dotychczasowego faworyta – Locronon. Notowania podniosła mu niewątpliwie pogoda i nadzwyczajne wprost ukwiecenie. Miasteczko bierze udział w konkursie *Ville Fleurie*, w którym otrzymało wysoką notę czterech gwiazdek, a właściwie kwiatuszków, bo to one symbolizują poziom urody miasta wynikającej z liczby kwietników. Pomysł na ożywienie szarych murów kamienic kwiatami zrodził się w głowie amerykańskiego malarza i portrecyście Alfreda Klotsa, który na początku XX w. zamieszkał w miejscowym *château*. To on hodował w swojej oranżerii różne odmiany pelargonii, a potem rozdawał sadzonki mieszkańcom, namawiając ich do ozdabiania swoich domów od zewnątrz.

Po tak wysoko ustawionej poprzeczce później zwiedzane Malestroit ze swoimi zabytkowymi kamieniczkami i śliczną wyspą Notre Dame, spichlerzem i ruinami kościoła, w którym w 1343 r. podpisano rozejm pomiędzy Anglią i Francją pod koniec Wojny Stuletniej, już nie zrobiło na nas takiego wrażenia. Choć oczywiście mamy patriotyczny sentyment do tego miasta, gdyż to tutaj właśnie w kwietniu 1940 r. gen. Sikorski odebrał przysięgę od

Samodzielnej Brygady Strzelców Podhalańskich.

Ostatni punkt tego dnia to Josslin. Piękne uliczki, kamienice z XVII w. z oryginalnymi, świetnie zachowanymi drewnianymi fasadami, piękna bazylika Notre Dame du Roncier. I *clou* programu czyli zwiedzanie *château* i otaczającego go parku. Zamek stanowi niezwykle, dwustronną budowlę. Od strony rzeki mającą charakter średniowiecznej twierdzy z trzema wieżami, od strony miasta zaś – pałacu z renesansowymi zdobieniami i charakterystyczną dla gotyku płomiennostego (*flamboyant*) koronkową, kamienną fasadą. Dla zwiedzających udostępniony jest parter – w tym jadalnia, westybul, bawialnia i biblioteka z licznymi zabytkowymi pamiątkami rodziny książęcej Rohan-Chabot – do dziś zamieszkującej wyższe kondygnacje zamku Josselin. Absolutnie niezwykle wrażenie, na nas Polakach naznaczonych historią, która większości arystokratycznych rodzin odebrała rodzinne siedziby, robi historyczna ciągłość rodziny zamieszkującej te mury nieprzerwanie od kilku wieków. Podobne rysy twarzy na portretach z XVII i XX w., tradycja nadawania najstarszym synom w każdym pokoleniu na przemian tego samego imienia: Alain lub Josslin de Rohan. Doprawdy niezwykle doznanie i rzecz do pozazdrosczenia. Nota bene w salonie na sztalugach stoi portret ojca obecnego właściciela zamku, księcia Alaina w mundurze z II wojny światowej, autorstwa jego przyjaciela Trafforda Klotsa, syna Alfreda, naszego „znajomego” z Rochefort en Terre. Zamek od strony wschodniej przylega do pełnego urokliwych zakątków parku, który poza jednym, wydzielonym fragmentem, jest udostępniony do zwiedzania.

To nasz ostatni dzień w tej części Breitanii. Następnego, ruszamy na północ, do naszego ulubionego Finistère.

8 września – sobota

Znowu słonecznie i ciepło. Zostawiamy nasz domek, przemilnych gospodarzy i jedziemy do Plouescat. Po drodze zahaczamy o Pontivy. Najciekawszym punktem miasta jest bazylika Notre Dame de Joie i zamek rodziny de Rohan o średniowiecznym rodowodzie. Zamek nie zachwyca nas jakoś nadzwyczajnie, rezygnujemy więc ze zwiedzania go wewnątrz, orientując się na podstawie

folderu, że nie ma zbyt wiele do zafellowania zwiedzającym. Ciągnie nas już na północ, na wybrzeże, gdzie stoi nasz kolejny, kamienny domek. Ten zaś, okazuje się przytulnym siedliskiem, z ogromną łąką do naszej dyspozycji, ogródkiem przytulonym do domostwa gospodarzy ze swojską kosodrzewiną pod murem. Wita nas ich syn z parą psów, a po „gospodarstwie” oprowadza jego matka, *madame Alice*, którą bardzo ucieszyło to, że znamy już kilka słów po bretońsku. Po obiedzie idziemy na „naszą” plażę, o tej porze dnia mającą niesamowity klimat. Wśród fali piasku i w przybrzeżnej strefie morza rozrzucone są potężne granitowe skały. Plaży o takim trochę ponurym, a trochę tajemniczym charakterze jeszcze w Bretanii nie widzieliśmy. Jesteśmy zachwyceni wyborem domu i tym, że w realnych okolicznościach przyrody nie okazał się odpowiednio sfotografowanym niewypałem. Jest ładniej niż się spodziewaliśmy, choć „obiecane” pole karczochów sąsiadujące z naszym domem okazało się być polem kałafiorów. Karczochy hoduje się na jednym polu tylko przez kilka lat, potem stosuje się płodozmiian i właśnie na ten kałafiorowy płodozmiian przypadła nasza wizyta. W całym domu mnóstwo

jest pięknych starych przedmiotów, lampy naftowe, stare bretońskie rzeźbione meble, historyczne fotografie Plouescat, reprodukcje malarstwa, dzbanki, miedziane naczynia. Sercem domu jest dwustronny kominek otwierający się z jednej strony na kuchnię, z drugiej na salon, który jest właściwie oszkloną werandą. Dowiadujemy się, że mieszkamy w dawnym budynku gospodarczym – garażu na traktory. Jedna z sypialni urządzona jest w starej stajni. Ale dom jest świetnie wyposażony i niczego nam tu nie brakuje. Również w tym domu jest sporo książek, w tym francuskie wydania Tolstoja, Dickensa, Przewodnik po Bretanii z 1966 roku z pięknymi rycinami, z którego czerpiemy mnóstwo interesujących informacji na temat historii, języka i kuchni oraz wiele innych pozycji, zaspokajających każdy gust.

9 września – niedziela

Przerwa w podróżach z powodu załamania pogody. Traktujemy to jak znak, bo w całej reszcie Francji, poza naszym cyfelkiem, jest piękna pogoda i 31°C. U nas chmury, deszcz i 19°C, a nawet trafił się jeden potężny grzmot, który wysadził nam bezpieczniki. Zadowoliliśmy się zatem

mini spacerem nad brzeg morza, zakupami, degustacją kolejnego cydru (szukamy faworyta, który zasłużyłby na podróż do Polski), grą w kalambury, przy której dorobiliśmy się zakwasów ze śmiechu, tak gromkiego, że aż miejscowe psy przyszy pod naszą werandę osobiście przekonać się co się dzieje. Słowem aklimatyzowaliśmy się w nowym miejscu jak należy.

10 września – poniedziałek

Piękny, błękitnooki poranek. Dzień rozpoczęty spacerem nad morze, o tej porze dnia to jedyna okazja żeby zobaczyć ponure skały w całkiem innym, ciepłym świetle od strony lądu. Jest tak wczesnie, że mewy jeszcze nie krzyczą, tylko drzemią na skałach wystających z wody. Po śniadaniu ogłaszamy „dzień zamkowy”. Postanawiamy zwiedzić okoliczne *châteaux*.

Pierwszy Maillé, XIV-XV wieczny zamek jest własnością prywatną i o tej porze roku nie jest udostępniany zwiedzającym, nawet od zewnątrz. Żałujemy, bo ma piękną bryłę i aleję dojazdową, ale szanujemy prywatność właścicieli.

Kolejny to *château Kerjean*. Dużo większa budowla, częściowo zrujnowana, z przełomu XIV i XV w. Otacza go piękny

Kapliczka Sainte Barbe



park i urokliwy zakątek z fontanną, zbudowaną na brzegu stawu. Zamek można zwiedzać od wewnątrz, ale mamy pecha i nie udaje nam się zdążyć na właściwą godzinę, mimo dwóch prób. Przywiązanie Francuzów do określonych godzin pracy i świętej przerwy obiadowej jest trochę irytujące. Bez pardonu odprawiają klienta z kwitkiem, czy to muzeum, czy naleśnikarnia, czy sklep obuwniczy, mimo że podczas posezonalnego spadku liczby klientów każdy kolejny to dla nich czysty zysk. Wszystko to furda, między 12.00 a 14.30 życie w Bretanii zamiera.

Kolejne miejsce, bardziej przyjazne to zamek Tronjoly, pięknie położony na uboczu, z dala od drogi, własność rodziny de Kergoët, zbudowany w XVI w. Zamek można zwiedzać tylko z zewnątrz, ale jest tak malowniczy, że zadowolamy się tym w zupełności.

Kolejny punkt tego dnia to zamek Kerouzeré, XIV-wieczny. Ten jest również własnością prywatną. Przeznaczony do zwiedzania tylko w wybrane dni, w określonych godzinach. Otoczenie i zamek z zewnątrz można zwiedzać cały rok. Położony jest najbliżej morza i zapewne z wyższych kondygnacji ma przepiękny widok na zatokę. Z Kerouzeré jedziemy do Saint-Pol de Léon. Nieduże miasteczko z wielką katedrą Saint Paul Aurélien i kaplicą Notre Dame de Kreisker. Bazylika jest jednym z tych wypełnionych światłem, jasnych i ciepłych kościołów pełnych tyłu tak pięknych i różnorodnych detali, że spokojnie pół dnia można poświęcić na jej odkrywanie. Na jej wieży znajdują się 3 dzwony, w tym jeden ważący 2 tony, największy w Bretanii. Jeszcze tylko spacer po mieście, zakupy w pobliskim Leclercu i powrót do domu. Niestety zebrały się nad nim deszczowe chmury i po obiedzie polał się z nich dość nieprzyjemny, zacinający kapuśniaczek. Jeszcze nie wiemy, gdzie pojedziemy jutro, wszystko zależy od pogody, a każda stacja w TV podaje inną prognozę.

11 września – wtorek

Enclos paroissiaux – charakterystyczne dla Bretanii zespoły kościelno-cmentarne. W kolejny piękny i słoneczny poranek ruszamy szlakiem tych niezwykłych kompleksów architektonicznych złożonych z kościoła z charakterystyczną wieżą, bramy triumfalnej, kalwarii, kostnicy, cmentarza i fontanny, a wszystko to otoczone

murem oddzielającym od reszty miasta i świeckich zabudowań. Zwiedziliśmy kolejno Berven, Lampaul-Guimiliau z przepięknymi ołtarzami rzeźbionymi w drewnie i oszafamią snycerką wewnątrz kościoła, Guimiliau – najpiękniejszy zespół z niezwyklej urody ornamentyką i Saint Thégonnec, równie bogato wyglądający od zewnątrz, wewnątrz okazał się raczej rozczarowujący, kąpiący złotem i nadmiarem jaskrawych barw.

Po drodze do Morlaix zerknęliśmy jeszcze na malownicze ruiny średniowiecznego zamku z XIII w. Penhoat St-Thégonnec. W Morlaix darowaliśmy już sobie miejscowe kościoły. Obeszliśmy za to miasto z jego malowniczymi kamieniczkami należącymi onegdaj do bogatych handlarzy lnem, a także podziwialiśmy panoramę miasta, prawie z lotu ptaka tzn. z charakterystycznego 2-kondygnacyjnego wiaduktu. Próba zjedzenia czegośkolwiek w mieście o godzinie 17.00 zakończyła się klęską, wszystkie *crêperies*, restauracje, bary i pizzerie witały nas zamkniętymi do 18.30 drzwiami. To samo spotkało nas po powrocie do Plouescat. Na szczęście jesteśmy w tym względzie samowystarczalni, ale Francja ze swoim brakiem elastyczności czasowej coraz bardziej działa nam na nerwy.

12 września – środa

Powoli kończymy naszą kolejną przygodę z Bretanią w tle. Pora rozejrzeć się za dobrami materialnymi. Najpierw jednak jedziemy na Wybrzeże Legend – *Côte des Légendes* – zwiedzić dawną wioskę rybacką de Menham. Wioska z jej pozamykanymi na głucho domkami krytymi strzechą niewiele ma do zaoferowania o tej porze roku, poza malowniczym kamiennym domkiem wtulonym między dwie skały, dobrze znanym z pocztówek. Ruszamy zatem do Roscoff, ważnego portu z przebogatą i burzliwą historią.

Tam najpierw zwiedzamy fort de Blosson położony na wzgórzu zwieńczonym śliczną kapliczką Saint Barbe.

Rozciąga się stąd piękny widok na Ile de Batz – tzw. Ogród Warzywny (na wyspie dominują uprawy warzyw), na baseny hodowli ostryg i na całe Roscoff. Akurat jest przypływ i lazurowa woda podchodzi pod samo nabrzeże miasta. Warte obejrzenia zabytki to XVI-wieczny kościół Notre Dame de Croaz Batz z dwiema zamkniętymi kostnicami, piękne kamienice i domy

związane ze znanymi postaciami. Dom na nabrzeżu, w którym w sierpniu 1548 r. zatrzymała się 5-letnia Maria Stuart w drodze na dwór francuski, gdzie miała zostać żoną delfina Franciszka Waleczusza i dom, w którym przez jedno lato 1869 roku Aleksander Dumas ojciec, pisał rozdział o cebuli w swoim Wielkim Słowniku Kulinarnym. Bo trzeba wiedzieć, że Roscoff najbardziej chyba znane jest z hodowli dwóch odmian czerwonej i różowej cebuli, nadzwyczaj cenionych po drugiej stronie kanału La Manche, gdzie nazwano je *Johnnies*. Najwięcej wrażeń dostarczyło nam jednak zwiedzanie portu z targiem owoców morza i przejście długim mołem przeznaczonym do przybijania promów z Ile de Batz podczas odpływu. Wyjście na nie daje wrażenie znalezienia się na otwartym morzu. Przy silnym wietrze wrażenie jest naprawdę godne przeżycia, oczywiście przy trafieniu na porę przypływu. Zwiedzanie zakończyliśmy rajdem po sklepach i sklepikach, naleśnikami z solonym karmelem i porcją muli z frytkami zjedzonymi w towarzystwie Anglików i Irlandczyków, licznie odwiedzających to miejsce. Do domu wróciliśmy z lżejszymi portfelami, za to zaopatrzeni w najróżniejsze drobiazgi, które będą nam i naszym znajomym przypominać tę wyprawę. Bo choć pieniądze szczęścia nie dają, nic nie robi kobiecie tak dobrze jak zakupy.

13 września – czwartek

Przepiękny, kryształowy poranek. Wyruszamy w kierunku Carantec, ślicznej, małej nadmorskiej miejsciny. Zaliczamy poranny targ, a potem malowniczą ścieżką na zboczu idziemy wzdłuż plaży Grève Blanche aż do drogi łączącej stały ląd z małą wyspą Ile Callot. Dochodzimy do wyspy w czasie odpływu. Chcemy zobaczyć punkt widokowy i znajdującą się na wyspie kapliczkę, jednak ostrzeżono nas przed zbliżającym się przypływem, który zalewa drogę dojazdową i odcina możliwość wydostania się z wyspy. Ostrzeżenie było nieco przedwczesne, bo spokojnie zdążylibyśmy obejść całą wyspę, ale posłusznie zawróciliśmy i zrobiliśmy sobie na nabrzeżu piknik urozmaicony obserwacją przygód spóźnialskich, którzy usiłowali się dostać lub wydostać z wyspy jeszcze suchą nogą. Woda początkowo podnosiła się dość wolno, a potem rzeczywiście błyskawicznie przelała się przez drogę i z szumu, z jakim płynęła

można było wywnioskować jak silny ma prąd.

Z Carantec ruszyliśmy na kolejne poszukiwania ruin Kergournadeac'h, kolejne, bo poprzednie nasze próby były bezowocne. Tym razem dotarliśmy na miejsce, ale ruiny znowu okazały się własnością prywatną, strzeżoną przez wybudowane tuż obok współczesne *château* i obejrzeć je można było tylko przez płot i krzaki.

Następny punkt, w którym nic ciekawego poza zamkniętym dla zwiedzających kościołem nie było, to Lesneven. Postanowiliśmy zatem wrócić wcześniej do domu i skorzystać z ostatnich letnich promieni słońca, zahaczając po drodze o *brocante* z dość kosmicznymi cenami, jak na tego rodzaju przybytek, ale spędzamy tam sporo czasu, buszując w starociach wszelkiej maści. Po obiedzie ruszamy pieszo na eksplorację północnej części naszego wybrzeża, dzięki czemu docieramy do dwóch menhirów, jednego leżącego zwanego Śpiącym Menhirem – *Menhir Couché*

– i drugiego, liczącego sobie 7 m, położonego na pustym płaskowyżu z widokiem na morze, zwanego *Cam Louis*. Do samego zachodu słońca siedzimy na skalistym brzegu przypatrując się falom rozbijającym się z impetem o skały i już tęskniąc za tym miejscem, bo pora wyjazdu zbliża się nieubłaganie.

14 września – piątek

Dzień spędzamy na zakupach produktów spożywczych, które zawsze przywozimy z Bretanii – gałek, solonego masła, cydru, serów, soli morskiej, konfitury mlecznej, konfitury z cydru itp. Ja usiłuję pomieścić w plecaku nieprzyzwoitą ilość słoików z zakupionymi w trakcie całej wyprawy miodami – rozmarynowym, kasztanowym, lawendowym, tymiankowym, ulubionym wrzosowym, cytrynowym i orzechomiodem (*noisetomiel*) nowoodkrytym smakołykiem bretońskim będącym mieszanką miodu i mielonych orzechów laskowych. W pożegnalny wieczór puszcza my z naszej łąki lampiony

spełnionych życzeń. Oprócz osobistych, jedno życzenie wyszeptane w kierunku światelka puszczonego do nieba było takie samo u wszystkich – obyśmy znowu cali i zdrowi wrócili do Bretanii....

Tekst i zdjęcia Aldona Uziębło

Autorka mieszka w Katowicach, pracuje na Uniwersytecie Śląskim. Tak pisze o sobie: „Jestem nauczycielem akademickim, botanikiem, wielbicieleką dzikiej przyrody, baśni, starych cmentarzy i kowalstwa artystycznego, XIX-wiecznej literatury oraz jej ekranizacji, dobrej muzyki, porcelany, psów i rękodzieła (kolejność przypadkowa). I oczywiście dożgonną wielbicieleką Bretanii, bo tam znajduję wszystko, co kocham. Z Domem Bretanii zetknęłam się, poszukując dobrego przewodnika i w Internecie znalazłam „Kolory Bretanii” Ewy Waliszewskiej, które towarzyszyły nam podczas całej wyprawy”.

Barką przez Bretanię...

Magdalena Lisiewicz

Jesteśmy sześciorgiem przyjaciół. Każdy innej profesji, ale łączy nas wiele – pierwszą młodość mamy już za sobą, uwielbiamy biesiadowanie, czytanie książek, nocne dyskusje, a najbardziej podróże. Ale w takie mniej konwencjonalne miejsca, do których turyści z biur podróży raczej nie zaglądną. W Polsce znamy już prawie wszystkie ciekawe i mało uczęszczane zakątki. Postanowiliśmy więc zobaczyć kawałek Francji, lecz nie tej, do której ciągną tłumy z całego świata, ale prowincję z jej małymi wioskami i miasteczkami.



Załoga w porcie La Roche Bernard

Wybraliśmy się więc na rejs barką po francuskich kanałach z rowkami na pokładzie.

Wystartowaliśmy z małego miasteczka Nort-sur-Erdre. Barka załadowana po brzegi, płyniemy na zachód. Podobno w Bretanii codziennie pada, ale chyba dobrze trafiliśmy, bo pogoda była cudna, ciepła i słoneczna. Ani śladu deszczu i chmur. Po drodze piękne widoki, zamki, mnóstwo ptaków, małe, przycupnięte osady obowiązkowo ukwiecone, jak z resztą wszystko tutaj. Od mostów po śluzy, balkony i okna. Morze kwiatów. Jednak nie tylko to zaskakuje w Bretanii. Przemii-

li są tu ludzie, których spotykamy przy okazji każdego postoju, na wycieczkach, w sklepach itp. Są nadzwyczaj uprzejmi, pogodni i życzliwi. Czasem bywa to nawet dość kłopotliwe, zwłaszcza kiedy mijają się sporą grupkę ludzi i każdy z nich mówi *Bonjour* i każdemu z osobna trzeba odpowiedzieć! To samo podczas posiłków na barce. Okrzykiem *Bon appétit!* nie ma końca, ale jest to tak szczere, że nie można nie podziękować. Kilka spotkań szczególnie utkwiło w naszej pamięci. Miasteczko Blain. Jedziemy rowerami, zaczepia nas w języku francuskim jakiś starszy mężczyzna, zaprasza na miłą do swojego przestronnego, przypominającego stodołę domu. A tam muzeum, najprawdziwsze! Tysiące egzotycznych eksponatów z całego świata, począwszy od narzędzi chirurgicznych, poprzez wypchane zwierzęta, po zasuszone głowy Indian. Okazało się, że pan przez wiele lat był marynarzem. Niestety nasza rozmowa okazała się dość trudna z powodów językowych, ale i tak wizyta wprowadziła w nas aurę tajemniczości. Opuściliśmy to miejsce z lekkim poczuciem ulgi, że nie staliśmy się kolejnym trofeum gospodarza...

Miasteczko Redon, marina wśród starych domków o zabudowie szachulcowej. Zachód słońca w takim miejscu to bajka. A obok nas przycumowana mała łódka, w której para Australijczyków siada do kolacji przy świecach, a kiedy jest już całkiem ciemno zaczynają grać na gitarze i śpiewać francuskie ballady. Co za wieczór!

Miasteczko Chevalière – małutka przystań w lesie, a nieopodal domek ze skośnym, przypominającym namiot, dachem. To lokalna winnica. Z domeczku wychodzi *monsieur* i zaprasza nas na degustację win. Jest niezwykle sympatyczny, uśmiechnięty, częstuje nas po kolei wszystkimi trunkami, jakie posiada, więc atmosfera robi się coraz gorętsza, już prawie umiemy mówić po francusku. Na barkę wróciliśmy obładowani kartonami butelek, a te których nie udało nam się opróżnić podczas degustacji, pan podarował nam na kolację. Naprawdę miło.

Kolejny dzień, kolejny postój. Lekki niepokój budzą w nas przygotowania do jakiejś imprezy plenerowej. Będzie hałas i tłum ludzi? Tego nie lubimy. Jednak po południu pojawiło się mnóstwo łodzi i stateczków, dużych i małych, z których wyskakiwali ludzie weseli i szczęśliwi, bo mer



Barka Crusader na rzece Vilaine

otworzył nową służbę. Trzeba to więc opić kirem i jabłkowym cydrem, i koniecznie zatańczyć celtyckie przytupy. Oczywiście zostaliśmy zaproszeni do wspólnej zabawy, ale mimo muzyki i cydru, który lał się obficie, nie udało nam się nauczyć tych setek drobnych kroczków, które Bretończycy wykonywali z gracją i wielką swobodą.

Nareszcie docieramy do ostatniej przystani w Arzal, za którą jest już tylko ocean. Dalej nasza barka nie popłynie, następna słuza przepuszcza już tylko duże jednostki płynące na wielką wodę. Widok jak w katalogach biur podróży, zapiera dech. Błękitna woda, setki białych łodzi zacumowanych przy kamiennym nabrzeżu, strome czarne skały, domy obsypane kwiatami, a przy brzegu kilka małych, urokliwych knajpek serwujących pyszne bretońskie przysmaki – naleśniki na słono, czyli *galettes* z mąki gryczanej, podawane z serem, szynką, jajkiem oraz *crêpes* na słodko, sałaty z kozim serem, mule, ryby i cydr podawany w filiżankach. Pycha. Gorącym wieczorem zamawiamy na pokład zimne drinki. Sympatyczny kelner życzy nam *Bon appétit*. Czujemy się jak milionerzy.

Od tego dnia zaczynają się rowerowe wędrówki brzegiem oceanu, a jest on wyjątkowy. Ciemne, klifowe skały wcinające się w wodę, fale rozpryskujące się o brzeg, małe zatoczki, latarnie morskie i domki

wiszące nad urwiskami. A wszystko to w pełnym słońcu i niestety dość silnym wietrze. Kąpiel w oceanie była naszym obowiązkowym punktem programu, chociaż woda zimna jak w Bałtyku, a Francuzi patrzyli na nas z dużym zdziwieniem, stukając się lekko w czoło. Był też piknik nad brzegiem wśród skał (pieczone kiełbaski z Polski, francuska bagietka, sery i szampan), ale z powodu bardzo szybko nadchodzącego przypływu (co było dla nas sporym zaskoczeniem) musieliśmy go skrócić do minimum. Za dwadzieścia minut miejsce, w którym stał nasz grill było już dobrej metr pod wodą.

Na koniec spacer po bajkowym La Roche Bernard. Kamienne domy, wąziutkie uliczki stromo wspinające się w górę, kafejki, sklepiki i wszędzie tysiące kwiatów, które kojarzą się nieodmiennie z klimatem Bretanii. Bretanii, jaką poznaliśmy, z jej życzliwymi mieszkańcami, trochę tajemniczą, mistyczną, bez tłumów turystów i hałaśliwych deptaków. Bretanii do której jeszcze wrócimy.

Tekst i zdjęcia Magdalena Lisiewicz

Autorka jest lekarzem anestezjologiem, jej pasją są podróże, sporty rekreacyjne oraz fotografia.

Bretania pachnąca wolnością

Aneta Saks

Już nawet dokładnie nie pamiętam, kiedy fascynacja Bretanią, Francją tak naprawdę się rozpoczęła. Być może było to we wczesnym dzieciństwie, a może jeszcze w poprzednim wcieleniu? Nie wiem... Jedno jest pewne, Bretania stanowi ważny punkt na mapie życia, również ważny punkt na malarskiej płaszczyźnie.

Bretania to raj dla artystów, nie da się tego ukryć. Krajobraz mieniący się odcieniami wrzosów, indygo, rudości czy błękitów skusilby niejednego. Nie dziwi zatem fakt, że tak często sięgamy po pędzle, chcąc w jakimś małym stopniu zatrzymać piękno tego regionu.

Krajobraz tak różnorodny, z jednej strony otoczony Oceanem Atlantyckim,

XIX Dni Bretanii organizowane co roku w listopadzie przez Dom Bretanii, zainauguruje otwarcie w dniu 16 listopada wystawy „Od Rennes do Finistère...” siedmiorga akwarelistów polskich zafascynowanych Bretanią. Inicjatorką wystawy jest Aneta Saks.



i wiatrem, i przede wszystkim wolnością... Dumnego ze swojej historii i przeszłości. I mam cichą nadzieję, że chociaż poprzecz sztukę w jakiś sposób udaje mi się odzwierciedlić to, co w nim jest najpiękniejszego.

Przedemną zapewne jeszcze niejedną wyprawą w głąb zachodnich wybrzeży Francji, która pozwoli na poszerzenie moich wiadomości o tym miejscu.

Marzy mi się także klimatyczne miejsce, gdzie można byłoby przygotować ciekawą ekspozycję, wystawę, w której połączyłoby się to, co polskie, z tym, co francuskie...

A. Saks

Często zastanawiam się skąd bierze się ta dziwna, eteryczna tęsknota za krajem, którego tak naprawdę jeszcze dobrze się nie poznało.

Informacje zaczerpnięte z książek, filmów, starych fotografii czy wyjazdów są tylko namiastką treści, wyrwaną kartą historii, którą jak puzzle próbuję ułożyć w sensowną całość...

Z oczarowaniem drążę temat, wyszukując coraz nowe smaczki na temat Bretanii, wygrzebując z czeluści bibliotek książki o celtyckiej ziemi... a przede wszystkim malując, by nie zapomnieć, by zachować w małym stopniu to, co w dużym, wchłonyły żrenice...

z drugiej zaś, położony na pagórkowatym terenie półwyspu, fascynuje swoją formą, barwą i kształtem.

Małe, klimatyczne miasteczka, rozrzucone wokół, często zatopione we mgle, dodają tylko uroku, tworząc alkwę ciszy, spokoju, sentymentu... za niczym konkretnym, może za czymś co było, a może za tym, co na nas czeka.

To dziwne uczucie fascynacji zrodziło się nagle, co rusz podgrzewane jest ciekawą historią, jakąś anegdotą czy lekturą. Zdaję sobie sprawę, że nie poznałam do końca tej osobliwej krainy (pewnie nigdy nie poznam).

Regionu wtopionego w ocean, pachnącego wilgocią, morskim powietrzem

Wydawca: Dom Bretanii

Stary Rynek 37, 61-772 Poznań

tel. 61 851 68 51, fax 61 851 68 50

e-mail: dom@dombretanii.org.pl

www.dombretanii.org.pl

Redaguje: Elżbieta Sokołowska

kultura@dombretanii.org.pl



*dofinansowano ze środków
Miasta Poznania